

# MAGAZYN KONFEKCYI DAMSKIEJ

## Leona Grabowskiego w Krakowie, Plac Maryacki L. 9

### róg Rynku głównego

poleca bogaty wybór okryć damskich i kostyumów bluzek  
strojnych i angielskich, dla strusich i rękawiczek.

Sprzedawca materiałów na metry.

WŁASNA PRACOWNIA.

## PARYSKIE GADY.

71

— I jak odrazu przewidział, co może spowodować wyleczenie chorej! — dodał businessman. — Wzruszenie wywołane przez obecność drogiej osoby, mówił, może odrazu przywrócić ją do zdrowych zmysłów...

— Na nieszczęście jednak — wtrącił się do rozmowy Piotr — Ludwika nie poznawała drogich sobie osób.

— Tak, ale Balazzo nadmieniał wyraźnie, że zachowała pamięć osób i faktów z wczesnej młodości i dosyć było, że spojrzała na ten portret swej matki, by odzyskać zdrowie. Tak, Balazzo jest wielki człowiek i chce ufundować dom zdrowia jego imienia.

Mówiąc te słowa, odszedł z Panajonem na bok do okna i spytał go szeptem:

— A Duret?

— Chce go pan widzieć? — spytał również po cichu były złodziej.

— Naturalnie!

— Niech pan w takim razie spojrz przez okno.

I Panajon wskazał palcem na chodnik naprzeciw pałacu. Prezes i Lucya de Lagunan stali tam bez ruchu z opuszczonymi na dół oczami.

— Ależ oni uciekną! — rzekł Amerykanin.

Na tyle jeszcze panował nad sobą, iż zdanie to powiedział pocichu.

— Niema obawy! — odparł Panajon.

— Kto ich pilnuje?

— Nikt!

— Och!

I Lewis Jackson wyszedł szybko z salonu i pędził się pędem po schodach. Towarzyszył mu Panajon.

— Powiedziałem panu, że się nie ruszą z miejsca! — powtórzył były złodziej.

— Jakto?

— Zabroniłem im ruszać się.

Znaleźli się już na dole schodów w westibulu. — Dziwi pana to posłuszeństwo? — ciągnął dalej Panajon. — Proszę spojrzeć na ten papier a wszystko będzie odrazu zrozumiałe.

I podał miliardrowi przyznanie się do winy, podpisane przez Dureta i jego siostrzenicę.

— Dokumentu tego nie otrzymałem ma się rozumieć bez pewnego przymusu — opowiadał były złodziej. — Teraz jednak możemy być spokojni względem swych więźniów. Wiedzą oni dobrze, że ja nie żartuję i że przy najmniejszej próbie ucieczki prześlę ten manuskrypt głównemu prokuratorowi.

Lewis Jackson wyszedł ze swym towarzyszem przed pałac.

— Niech pan poczeka — dodał Panajon. — Zobaczysz pan, jak są wytresowani.

I zagwizdał jak na psa.

Maksym Duret i baronowa, którzy stali zwróceniem plecami, obrócili się zaraz i podeszli do nich.

— Już pozbyłeś się wszelkich złudzeń, mój starszku? — zwrócił się fałszywy Harris do prezesa. — Przekonałeś się, że ja nie żartuję! Ja nie nie przyrzekałem twojej wnuczce, wiesz więc dobrze, że przy pierwszym twym nieposłuszeństwie autograf twój znajdzie się w rękach prokuratora...

Były złodziej chował przytem do portfela dokument, wydany na siebie przez nędznika.

Prezes i siostrzenica jego stali w milczeniu.

— Uda się pani na ulicę Amsterdamską, naprzeciw dworca kolejowego — rzekł Lewis Jackson do baronowej. — Ja tam mieszkam w małym hoteliku. Powie pani, że przychodzi przysłana przez Maixenta i zażąda pani dla siebie pokoju. Tam proszę czekać na me instrukcje. Za dwa lub trzy dni wyjedzie

pani do Belgii do klasztoru, w którym pani pozostanie już na zawsze.

— Można powinszować pani baronowej! — roześmiał się Panajon. — Okupiła pani swe winy bardzo tanio!

— Proszę już iść! — dodał Amerykanin.

Baronowa oddychała ciężko. Spojrzała jeszcze na swego wuja, którego widziała po raz ostatni i odeszła.

— A niech pani nie zapomina o naszej ugodzie! — zawołał za nią Panajon. — Niech pani pamięta, co się stanie, jeżeli wieczorem nie będzie pani na miejscu w hotelu!

Lucya de Lagunan oddalała się. Szła wolno zgarbiona, jak siedmdziesięcioletnia staruszka.

— A teraz ty, Borgia! — rzekł były złodziej. — Co z nim zrobimy? — dodał, zwracając się do miliardera.

— Jutro lub pojutrze — zaczął businessman — zawiozę pana do Bretanii. Jest tam w Finistere plaża śmiertelnie smutna, zupełnie zapuszczona. Kupię tam dla pana mały domek ogrodzony murem. Nigdy pan z niego nie wyjdzie... Będą pilnowali tam pana ludzie, umyślnie do tego wynajęci.

— Jest to niezłe — rzekł Panajon — lecz ja mam coś lepszego...

— Co? — spytał Lewis Jackson.

— Przypomina pan sobie tę plażę, przez którą jechaliśmy z Arcacton?

— Hourtin-les-Bains?

— Zdaje się, że tak się nazywa...

— Myślałem o tem, by go tam ulokować.

— Dlaczego go więc tam nie posłać? Będzie miał tam przynajmniej co do roboty, w pańskiej zaś willi bratońskiej będzie siedział z założonymi rękami! Nie można mu dawać zawiele ulgi! Powinien pracować!

— Cóż on będzie tam robił?

— Niech mi pan pozwoli zająć się tem!

— Proszę...

— Bardzo dobrze! Słuchaj, Borgia... Och! tylko bez tej wyniosłej miny! Wiesz, że tego nie lubię! Dobrze teraz... Nie żądam od ciebie uśmiechów, ale powinieneś stać z uszanowaniem. Pojedziesz więc do Gaskonii. Nie zapomniesz zapewne Hourtin les Bains, które poznaliśmy dzięki tobie?... Dostaniesz pół franka na drogę i worek robotniczy na plecy... Tam znajdziesz sobie robotę. Budują nową drogę, będziesz więc tłukł kamienie i woził w taczkach piasek... Zarobisz sobie w ten sposób na chleb i ćwiartkę wina.

Lewis Jackson potwierdzał to ruchem głowy.

— Gdy roboty te skńczą się, będziesz się wynajmował po wioskach do dojenia krów. W czasie sezonu kąpielowego będziesz sprzedawał dzienniki. Jesteś sprytny, więc sobie zajęcie zawsze znajdziesz, a głód będzie ci bzdurą. Nie wolno ci jednak będzie wydalać się poza obręb gminy. Pan Jackson, który ma na to środki, wynajmie ludzi do pilnowania ciebie. Pamiętaj więc, nie wolno ci ani uciekać, ani popełnić samobójstwa, co jest również ucieczką. Nie zapominaj o tem, jeżeli nie chcesz, by twoi znajomi dowiedzieli się o tobie!

Głowa nędznika opadała coraz niżej. Plecy jego garbiły się w pałąk.

— Dobrze pan to obmyślił! — pochwalił Amerykanin. — Ja chciałem go skazać tylko na dożywotnie więzienie, poniżenie jednak będzie najlepszą karą dla jego dumy.

— A teraz, kiedy los twój postanowiony, Borgia — zakończył Panajon — wracaj do Chaville... Będziesz pomagał Ahmedowi i Euzebiuszowi. A tutaj masz czterdzieści susów na drogę!

I mówiąc to, dał dwa franki prezesowi, który wziął je w milczeniu i ruszył przed siebie wolnym krokiem.

— Zdaje mi się, że on prędzej będzie zebrał, niż

pracował! — zauważył Lewis Jackson. — Jest to tylko cień człowieka!

I wrócił razem z Panajonem do pałacu.

Zaledwie weszli do salonu, służący podał na tacy swemu panu bilet wizytowy, mówiąc:

— Ten pan powiedział, iż pan oczekuje go...

— Owszem — odparł miliardier, biorąc kartę wizytową. — Telefonowałem przed chwilą, by jak najprędzej przybył.

Służący wyszedł i w chwilę potem ukazał się gość.

Był to Wiktor Cartelegue.

Wielki przemysłowiec z miną sztywną i poważną skłonił się przed panem domu, który pośpieszył na jego spotkanie. Potem wyprostował się i stanął zdumiony z szeroko rozwartymi oczami na widok swego syna i Ludwika Dubois.

— Hallo! — rzekł Amerykanin — How do you do?

I ścisnął przytem energicznie rękę Wiktora Cartelegue.

— Dziękuję, bardzo dobrze... Lecz...

— Pan mnie nie poznaje?

— Przecież pan jest Lewis Jackson?

— Tak... Jest to nowe moje nazwisko... Lecz właściwie nazywam się Julian Maixent...

— On!

Oczy przemysłowca jeszcze bardziej się rozszerzyły. Poznał teraz swego kuzyna.

— Julian Maixent!... I... miliard?

Te dwa ostatnie słowa wyrwały się mimowoli Wiktorowi Cartelegue'owi.

— Wszystko jedno, czy Jackson, czy Maixent, mam jednak miliard! — odpowiedział businessman, nie mogąc powstrzymać się od uśmiechu.

Wielki fabrykant samochodów spoglądał oszołomiony na tego kuzyna, który wyłonił się przed nim z przeszłości z takim majątkiem, iż jego własna fortuna była drobniakiem.

— Pozwolisz mi, mój drogi, przedstawić sobie wszystkich obecnych — rzekł Amerykanin. — Nie mówię tu o narzeczonej twego syna... Znasz już ją dobrze...

i wskazał na Ludwikę.

Wiktor Cartelegue poruszył się niespokojnie.

— Jakto?... Narzeczonej mego syna?...

Oh! nie! Nigdy on się nie zgodzi na to głupie małżeństwo z biedną nauczycielką, której reputacja nie jest bardzo czysta.

— A nie tylko ją znasz — mówił dalej miliardier — lecz wiesz także, o co była oskarżona... Cieszę się jednak, iż mogą ci zakomunikować, że ci, którzy ją oskarżali, przyznali się dzisiaj do... pomyłki i bardzo żałują swego... błędu...

— Bardzo to piękne! — przerwał Wiktor Cartelegue. — Lecz mniejsza z tem! Panna Dubois...

Chciał powiedzieć w swym oburzeniu, iż panna Dubois, choćby była najuczciwszą, nie ma ani jednego susa i nigdy nie będzie nosiła jego nazwiska.

Lewis Jackson nie pozwolił mu dokończyć, lecz dodał sam:

— Niema już panny Dubois... Dzięki cudownemu wypadkowi poznałem w tem biednym dziecku moją prawdziwą córkę... Ludwikę Maixent... moją jedyną spadkobierczynię.

Wiktor Cartelegue w przeciągu trzech sekund stał się naprzód błydy jak lilia, potem czerwony jak piwonia. Doznał jakby chwilowego zawrotu głowy, podczas którego wszystko, ludzie i rzeczy wydawały mu się ze złota. Przymknął oczy i zachwiał się. Potem otworzył je i wyszeptał:

— Mój drogi kuzynie... Wybacz mi... Wzruszenie... Zdziwienie i radość... Nie panuję nad sobą...

Nic już nie pozostało z jego dyplomatycznej ułaskawienia. Chwiejąc się na nogach, z otwartymi rękami postąpił ku Ludwice, by ją uściskać po ojcowsku.